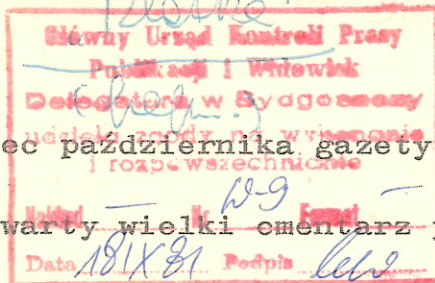


Kazimierz KUMMER

Red. Literata



Kiedy pod koniec października gazety podały wiadomość, że wkrótce zostanie otwarty wielki cmentarz pomordowanych Niemców, prace przy odgrzebywaniu zwłok ustały. Natomiast tak się jakoś złożyło, że w tym czasie odbywały się w mieście raz po raz wielkie wiece i po każdym z tych wieców następowały masowe aresztowania miejscowej ludności. W zależności od tego, kogo mówcy wiecowi uważali w danym momencie za sprawców "krwawej niedzieli", zamykano raz księży, raz robotników, to znów nauczycieli.

Koszary były przepełnione.

W wigilię otwarcia cmentarza, kiedy przywieziono z miasta wieńce, zamieciono podwórko, wypucowano samochody - słowem, kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik, strażnicy wypędzili nas ze stajni.

Z innych stajni wypędzali też więźniów. Wkrótce podwórko koszarowe wypełniło się ludźmi.

Rozejrzałem się wokoło. Ilu nas tu było, ile różnorodnych postaci, oczu, twarzy, czupryn, kapeluszy, czapek, butów, krawatów, je-sionek. Młodzi i starzy, ludzie łagodni i zapalczywi, bogaci i biedni, wykształceni i prości, miastowi i ze wsi - wszystkich wygnano na plac i wszyscy teraz czekali cierpliwie na to, co się stanie.

Wkrótce przybył pluton egzekucyjny.

Kiedy otoczyli nas i skierowali karabiny w naszą stronę, przemówił do nas Peter Schwartz:

- Zdajemy sobie sprawę, że jest wśród was wielu niewinnych

389  
llll

ludzi - rzekł. - Ale na razie jest bałagan. Musimy was rozdzielić: osobno nauczyciele, osobno lekarze, chłopci i tak dalej. Dopiero wtedy będziemy mogli rozsądzać sprawiedliwie, kto tu jest łajdakiem, a kto porządnym człowiekiem. W pierwszej kolejności zajmijmy się inteligencją. Nauczyciele, wystąp!

Zapanowała cisza.

Po długiej chwili z tłumu wystąpił nauczyciel śpiewu z gimnazjum K-ckiej.

Szedł spokojnym, ciężkim krokiem w stronę Schwartza. Kiedy stanął sam jeden naprzeciwko plutonu egzekucyjnego, ktoś stojący za mną szepnął:

- Jego puszcza na wolność.

- Skąd wiesz?

- Mówili.

- Kto?

- A ludzie mówili.

- Bzdura.

- Jak ludzie mówią, to zawsze jest w tym trochę prawdy.

- Czego chcesz?

- Może też wystąpimy:..

- Nie jesteśmy nauczycielami.

- No to co.

- Świnia.

- A ty głupi.

Idziesz?

- Sam nie mam odwagi.

- Idę z tobą.

- Może lepiej nie iść... Ja wiem... Lepiej poczekajmy.

Obok nauczyciela śpiewu stało już kilkadziesiąt osób.

- Księża, wystąp! - zawołał Peter Schwartz.

Duchowni ze względu na zdradzający ich strój wystąpili posłusznie z szeregu.

- Urzędnicy państwowi, wystąp! - wołał dalej Schwartz.

Tłum się szybko przerzedzał. Strażnicy spychali nas coraz bardziej w stronę stajni, gdzie odbywały się zazwyczaj egzekucje. Została nas garstka - robotników, chłopów i osób o nieokreślonym zawodzie. W ostatniej chwili wydostałem się z kręgu tych ludzi i dołączyłem do grupy urzędników.

Gdy uformowaliśmy się w długą kolumnę, strażnicy wyprowadzili nas z koszar.

Trzymaliśmy ręce wzniesione do góry; niektórzy z nas byli oznaczeni białymi krzyżami; z przodu i z tyłu kolumny biegły wspaniałe alzackie owczarki.

Przechodnie ujrzawszy nas przystawali na moment, na sekundę i potem, jakby sobie nagle o czymś przypomnieli, ruszali dalej.

Tu sprzątaczką dużą, żółtą szmatą polerowała kłamkę, tu szklarz wprawił zbitą szybę, tu wywieszano z balkonu nowiutką flagę, tu wozacy turlali beczki z piwem, tu służby były otwarte,

woda przelewała się przez nie gęstą pianą i spadała w dół przezroczystym, szerokim strumieniem, tu łagodny wietrzyk ledwo poruszał liśćmi drzew i było pięknie jak w fotoplastykonie i jeszcze na dodatek czasami łańcuch skrzypnął.

Dalej droga biegła w górę. Wysadzona wąskimi, wiekowymi domami użyczała nam trochę zjełczalego, wilgotnego chłodku. Czuło się tu ten skwierkew skwierkliwy, wesoly, napawający otuchą zapach obiadu.

Gdy skręciliśmy w lewo, wybiegła ku nam kobieta z rozwiniętym bielutkim prześcieradłem w ręce; chciała nam otrzeć pot z twarzy, lecz mąż złapał ją za rękę i nie pozwolił jej zbliżyć się do nas. Trzymał ją mocno. My zaś kroczyliśmy dalej, aż znaleźliśmy się na placu pełnym mocnego, dogasającego, jesiennego słońca. Pośrodku tego placu dostrzegłem dwa karabiny maszynowe i znacznie potem zobaczyłem leżących pod ścianą kościoła martwych ludzi.

Owczarki alzackie rozpląszczyły się brzuchami na bruku.

Stanęliśmy rzędami twarzą na wprost karabinów maszynowych, lecz rozstawili nas w ten sposób, żeby jeden drugiego nie pokrywał - na tej samej zasadzie na jakiej usadawia się ludzi w kinie, aby wszyscy widzieli ekran.

Palec żołnierza obsługującego karabin maszynowy spoczął na języku spustowym.

Zrobiło się cicho.

Przymknąłem oczy. Ktoś za moimi plecami począł powtarzać imio-

na swoich dzieci; na skrzydełkach przelatującej muchy zadźwięczała czyjaś modlitwa. Było coraz ciszej, coraz spokojniej. Zacisnąłem mocno powieki. Zapomniałem o stojących obok mnie ludziach. Ogarniała mnie ciemność. Oto jeszcze krótko, nieuważnie zegnałem się z życiem; ujrzałem moje rodzinne strony, gdzie niedaleko jeziora biegły tory kolejowe, ojca, wuja, Michała, matkę, strych, na którym przechowywałem jabłka, długi, płaski horyzont, zapach palonej naci i ciężki stół, na którym było wypisane całe życie moich rodziców. Potem Warszawę i wreszcie swój marsz ku Bydgoszczy, gdy zaczęła się właśnie piękna pogoda... Lecz oddalałem się. Coraz obojętniej i coraz krócej zegnałem się z życiem. Odchodziłem ku ciszy. Byłem sam. Wszystko co jeszcze czułem, to słońce. Łaskotało mnie ono delikatnie w kark, ogrzewało plecy. Ach jakże było mi ciepło.

Nagle - czyjś ostry kaszel i krótkie, gniewne szcęknięcie psa.

Otworzyłem oczy. Ludzie stali jak przedtem. Żadna ręka nie drgnęła, owczarki alzackie warowały nadal u naszych stóp. Nic się nie zmieniło, z wyjątkiem pewnego drobnego szczegółu. Oto żołnierz obsługujący karabin maszynowy zdjął ostrożnie palec z języka spustowego.

Usłyszałem wesoły, zdrowy śmiech Schwarta.

Pomału, jakbym wracał z niewiarygodnie dalekiej, wyczerpującej podróży, odzyskiwałem przytomność.

Nad dachami domów pokazał się latawiec i furkocząc czerwonym

397  
kww

ogonem wznosił się nad rynek. Nadjechała furgonetka z piwem, ludzie otwierali nieśmiało okna, żołnierze częstowali się papierosami. Dziennikarze fotografowali nas ze wszystkich stron - włązili na samochody, klękali na ziemi, podchodzili do nas blisko, to znów cofali się do bocznej uliczki, aby ująć całą grupę - słowem na rynku było gwarno, w pewnym sensie panował tu rozgardiasz.

Wkrótce jednak uciszyło się. Najpierw odeszły dziennikarze, potem odjechała furgonetka i gapie rozeszli się do swoich domów; na koniec, kiedy zrobiło się ciemno, zamknęły się wszystkie okna w rynku.

Mijały godziny.

Ruch w mieście ustał. W niektórych mieszkaniach słychać było jeszcze muzykę płynącą z radia, lecz po pewnym czasie i radia lecz po pewnym czasie i radia umilkły. Tramwaje stanęły, światła w oknach pogasły, ludzie położyli się spać, tylko my tkwiliśmy dalej na swoim miejscu.

Było coraz zimniej. Chłód przenikał kości. Czułem, jak drętwieją mi wzniesione do góry ręce, lecz nie śmiałem się poruszyć.

Stopy moje przygniatało ciężkie cielsko psa. Dalej stał Peter Schwartz i rząd połyskujących w świetle latarni karabinów.

Za nami zaś stały ciężarówki z opuszczonymi w dół tylnymi burtami.

Czekaliśmy.

Brzuch psa ogrzewał mi nogi. Jego miękka sierść łaskotała mi łydki. Czułem, jak w zwierzęciu spokojnie pulsowała krew i jak powoli gasła jego czujność. Ujrzałem, jak lufy karabinów nieznacznie pochyliły się ku ziemi i jak żołnierz obsługujący cekaem oparł sennie głowę o kolbę.

Schwartz spojrział na zegarek, lecz zobaczywszy, która teraz jest godzina, skrzyżował znowu ręce na piersiach.

Czekaliśmy dalej.

Ktoś upadł na ziemię; jeden z księży stojących w pierwszym szeregu klęknął; lufa cekaemu przesunęła się nieco w prawo; psy rozplaszczyły się jeszcze bardziej na bruku; zadudniły żołnierskie buty; zamigotały latarki.

Nadszedł oddział SS.

Zaczęto wyprowadzać z szeregu ludzi i doprowadzano ich przed oblicze oficera SS, który odsyłał jednych na prawo - w stronę ratusza, innych na lewo - prosto do samochodów.

Zanim zorientowaliśmy się, o co chodzi, trzy załadowane szczelnie ludźmi samochody wyjechały za miasto.

Po godzinie wrócili - puste, zabłocone, zaśmiecone zostawionymi w środku chustkami, kapeluszami i portfelami.

Esesmani zaczęli znowu doprowadzać ludzi przed oblicze swojego dowódcy.

Oficer świecił każdemu latarką w twarz, przyglądał mu się dokładnie i gdy się na moment zawahał, wszelki ruch na placu

zamierał.

Najdrobniejszy jego gest stawał się natychmiast wyrokiem. Kiedy Peter Schwartz zwrócił mu uwagę, aby nie pakował na samochody chorych kalekich i starców, oficer dał mu do zrozumienia, że decydowanie o tym kogo trzeba zabić, należy wyłącznie do niego.

Nie spieszył się. Wykonywał swoją pracę akuratnie.

Ludzie szli nieustannie. - jedni na prawo, inni na lewo.

Samochody powoli, jeden po drugim opuszczały rynek.

Szeregi przerzedzały się. Staliśmy teraz daleko jeden od drugiego.

Obok mnie nie było nikogo. W ciemnościach nie widziałem stojących dalej ludzi, ale byłem pewien, że oni tam stoją.

Słyszałem, jak esesmani zatraskiwali burty samochodów i jak maszyny jęcząc wywoziły z trudem za miasto zbyt wielki ciężar.

Nie się już nie mogło stać. Wszystko co mi zostało, to te parę minut wyczekiwania na swoją kolej.

Ale dlaczego mnie nie zabierają? Zdawało mi się, że omijają mnie. Wokoło nie było już nikogo. Stałem sam na pustym placu.

Wróciły wszystkie samochody; psy zbiegły się do Schwartza. Esesmani usiadłszy na schodach kościoła odpoczywalię oficer ściągnął z palców rękawiczki i zapalił papierosa.

Dlaczego nie przychodzą po mnie? Dlaczego zachowują się tak, jakby mnie nie widzieli?

Opuściłem ręce, lecz i na to esesmani nie zwrócili uwagi.



103  
LW

Poszedłem sam do nich. Gdy znalazłem się blisko Schwartza, przystanąłem. Pomyślałem, że to co teraz nastąpi, powinno być piękne i dumne. Patrzyłem mu długo w oczy i nagle, nie wiem dlaczego, ogarnęła mnie dzika złość. Rzuciłem się na Schwartza - chciałem go choć zadrapać, zranić, oderwać guzik, ale konwejeci odepchnęli mnie do tyłu. Teraz zbliżał się do mnie krok za krokiem. Szli hełm przy hełmie, karabin przy karabinie. Uśmiechali się. Widziałem tylko ich białe, długie, podbródki przymocowane do twarzy czarnymi paskami.

Runąłem przed siebie, lecz w tym momencie ktoś wziął mnie delikatnie pod ramię i odprowadził na bok.